



POWIEŚĆ

osnuta na tle ostatnich wypadków w Królestwie Polskiem.

NAPISAŁ

JERZY SWOBODA.

21

(Ciąg dalszy).

To zadanie jest nad ludzkie siły i wszystkie ich usiłowania pójdą na marne, zginą, nic nie osiągnąwszy, niczem nie zaznaczywszy swej działalności i dążeń.

Doszedł do sklepiku, otworzył drzwi oszklone małemi szybami i zajrzał.

Kupcowa, znając cel jego przybycia, zawołała uprzejmie:

— Niech pan wejdzie... siadaj pan — wskazała krzesło, patrząc na wiszący zegar — za trzy minuty przyjdzie.

Usiadł, rozejrzał się po sklepiku. Było tam wszystkiego po trosze: papierosy, bułki, chleb, wędliny; zwykły sklepik spożywczy w dzielnicy uboższej.

Od tego otoczenia, przy bliższym wpatrzeniu, odbijała trochę swem zachowaniem właścicielka sklepiku. Średniego wzrostu szatynka, lat średnich, nosiła swe ubranie nie bez wdzięku, miała krągłe, ładne ruchy, a na twarzy jej, oświetlonej lampą wiszącą, dał się strzedzwyraz smutku i zaciętości.

Przychodzili ci i owi, żądając towaru. Wszystkich obsługiwała z równą uprzejmością, tylko do jednego z mężczyzn uśmiechnęła się przyjaźnie i jak się zdawało Żaleckiemu, podkreśliła odpowiedź: „dzisiaj nie, może jutro, proszę wieczorem”. Zapewne znajomy, a może schadzka...

W tej chwili wszedł do sklepiku brunet, silnie zbudowany i zażądał dzwicznym głosem papierosów. Szerokie rondo kapelusza przysłaniało górną część twarzy, natomiast widać było ładne, ciemne wasy, twarz wygoloną i czerwone, uśmiechnięte usta.

Zwolna otwierał podane pudełko papierosów, patrzył badawczo na siedzącego Żaleckiego, udając skupioną uwagę na pudełku i spytał:

— Pani Maryo, czy ten gatunek papierosów jest... ten sam?

— Ten sam, co rano... pan brał.

Zapalił papierosa i zwrócił się do Żaleckiego:

— To pan mnie szuka?

Pytanie było tak nieoczekiwane, że zdziwiony spojrzął, milcząc przez chwilę:

— Czy pan Wojciech Kubalski?

— Ten sam — skinął głową.

— Jestem Żalecki... z polecenia pana Pawła.

— Pawła? — pokręcił głową — chodźmy się przejść... pogadamy.

Jakiś czas szli w milczeniu, wreszcie spytał szorstko:

— Ma pan znak jakiś? Dowód?

— Nie.

— Hm... hm... dawno go pan widział?

— Przed dwoma tygodniami.

— Gdzie? u kogo?

— U jednego z kolegów uniwersyteckich, przywiózł broszury — wymienił tytuły — przezna-

zione na Częstochowę i Piotrków. Również odezwy na Zawiercie i Łódź.

— Jakże odezwy?

— Wezwanie do czynnego oporu.

— No, tak... a miejsce druku?

— Nie było zaznaczone.

— Jakże zdrowie Pawła?

— Skarży się jeszcze na reumatyzm, wyniesiony z celkowego więzienia... i boi się zimna.

— Dobrze... egzamin się powiódł — zaśmiał się wesoło — dajcie waszą rękę, nasz jesteście. Bo to widzicie, różni bywają... Wy nie macie miny podejrzaney, owszem, dość szczerą, ale ostrożność nie zawadzi.

— Rozumiem — szepnął.

— Gdy powiedzieliście o reumatyzmie, a zwłaszcza o zimnie, przekonałem się, że prawdę mówicie... Z czym przyjechaliście? Czego chcecie?

— Pracować w partyi, dla partyi.

Spojrzał na niego z lekką ironią:

— To, uważacie, frazesy tylko; wszystko mówi, a nic nie powiada... Zaczekajcie z wynurzeniami, wstąpimy do restauracyi, jest na skrócie... pogadamy obszerniej.

Weszli do restauracyi na parterze i widocznie znali tu gościa, bo gospodarz witał głośno, usługujące dziewczęta wołały z uśmiechem: „dobry wieczór!”

Przeszli przez jedną salę, drugą i weszli do trzeciego pokoju, w którym pełnił służbę garson.

Gdy usiedli przy małym stoliku w rogu pokoju, zbliżył się usługujący:

— Czem mogę służyć?

— Najpierw dwie wódki i zakąski.

— Nie pijam wódki — powiedział Żalecki.

— Więc jedną na razie — a po wyjściu garsona — jeśli chcecie pracować wśród robotników, musicie żyć i pić jak oni, więc wódkę, piwo, kiełbasę, kiszkę... Wyjątkowość odstręcza, zwłaszcza upodobań fizycznych... wiem to z praktyki życia.

— Jeśli zajdzie potrzeba, będę pił.

— Nieprzwyyczajonego zamroczy wódka, a musicie mieć bardzo jasno w mózgu i każde słowo wpięć wazyć.

— Usłucham was... spróbuję teraz.

— Proszę jeszcze o kieliszek i przekąskę — rzekł do garsona.

— A teraz powiedzcie, czego chcecie? — patrzył na niego bystreimi oczyma i podkręcał wasy białą, delikatną ręką.

— Zdaje mi się, że potrafiłbym organizować fachowo, próbowałem już tego.

— Umiecie fach jaki?

— Pracowałem jako podziemny w kopalni.

— To na nic u nas... musielibyście być wykwalifikowanym, aby się dostać do fabryki, zresztą ściągnelibyście zaraz podejrzenie na siebie... Co umiecie?

— Jestem chemikiem ze studiów.

— Chemikiem?... Macie na życie? — a otrzymawszy skinienie potwierdzające — spróbujecie wkręcić się do jednej fabryki, powiem której później. Właścicielem jest Niemiec, majstrowie przeważnie niemieccy, robotnicy z czterech stron świata. Mamy tam jednego z urzędników, dobry człowiek,

chętny, ale strachają, nieśmiały, ostrożny do zbytku i na ośmiuset robotników mamy trzy dziesiątki, dość wątpliwe. Jak widzicie, placówka niebezpieczna, o zdradę bardzo łatwo i cytadela pewna. Czterech, którzy się podjęli, schwytano, może was to ominąć, ale pewniej pójdziecie pod klucz. Radzę wam tam, bo nie mamy ludzi, a że próbowaliście organizacyi, tem lepiej dla was... Ale wódka nam ostygła, w ręce wasze!

Wypili, jedli przekąski i Kubalski rozporządził, aby przyniesiono pieczeń i piwo.

— Wiecie panie — zaczął Żalecki — podoba mi się ta fabryka — uśmiechnął się — lubię tam pracować, gdzie nerwy są w napięciu.

— O, wrażeń wam nie zabraknie!

— Przyjmuję to miejsce — rzekł Żalecki.

— Pomiarkujcie wasz zapał. Najpierw nie wiecie, czy dostaniecie się do fabryki, następnie trzeba wymacać i obliczyć się z własnymi siłami, bo nie sztuka zginać lekkomyślnie. Nie przyjmuję waszego zobowiązania, bo wpięć, nim słowo się rzeknie, trzeba grunt zbadać.

— Macie rację, panie.

— Nazywajcie mnie Komar, takie przezwisko nadali mi robotnicy i pod tem nazwiskiem pracuję w partyi. A wy mieliście przezwisko?

— Wołano na mnie „Buczek”, bom młody był, a robotnicy byli przeważnie górale.

— To zatrzymajcie Buczka, to wcale przyzwolite nazwisko.

— Kiedy mogę się zgłosić do tej fabryki?

Zapytany spojrzął na zegarek:

— O godzinie siódmej dowiecie się. Gołąb będzie na bilardzie, pogadamy.

— Cóż to za jeden?

— Urzędnik fabryczny, o którym wam mówiłem; Gołąb to jego pseudonim. Więc spróbujecie fabryki?

— Już mówiłem i proszę o nią.

— Należy ona do Gottlieba Hartknocha, język biurowy niemiecki; czy władacie?

— Bardzo dobrze.

— Od święta mówią po polsku... płacą nieźle, ale pomiatają ludźmi. Roboty dużo, bo to fabryka wyrobów metalowych.

— Nie boję się roboty, byle iść naprzód i nie zwlekać, nie wahać się.

— Podoba mi się wasz zapał — uśmiechnął się przyjaźnie — a teraz jedźmy i pijmy.

Wśród szczeru widelców i nożów, w przerwach jedzenia rozmawiali:

— Gdzie zajechaliście i kiedy?

— Wczoraj wieczorem do hotelu „Victoria”.

— Dostyc drogi hotel — zrobił uwagę Komar — ale dobrze was rekomenduje.

— Pragnąłbym się wkrótce przeprowadzić, znaleźć tanie mieszkanie.

— Jeśli dostaniecie się do fabryki, nie radzę wam mieszkać przy rodzinie, to kępuje, zresztą Gołąb wam pomoże.

— A wy gdzie jesteście, Komar?

— We fabryce urzędnikiem wydziału gospodarczego i płatniczym jednej grupy.

— Dawno?

— Trzeci rok i na tysiąc czterysta robotników